Rozmaitości

Dnia 15. Czerwca Nr 24. 1830 Roku.

POJEDYNEK.

POWIEŚĆ ROSSYJSKA.

Pułk, w którym służyłem roku 1822, stał w małém miasteczku X. Wiadomo każdemu, na czém spędza życie oficér, który stoi załogą: z rana uczy robić bronią albo toczy rumakiem w ujeżdzalni; w południe jé obiad u pułkownika albo w żydowskim szynku; wieczorem gra w wista albo pończ pije; taki był codzienny mój sposób życia, równie jak i większéj części mych towarzyszy. Nie długo za przybyciem naszego pułku do X. zabraliśmy znajomość z pewnym człowiekiem, do którego pomieszkania częstośmy się wieczorem zgromadzali. Nieznajomy ten mógł mieć podówczas około lat trzydzieści, a ponieważ najstarszy z nas zaledwo miał dwadzieścia i dwa, był on więc w oczach naszych w takim wieku, w jakim człowiek zwykle miewa dojrzały rozum. Jakoż w saméj rzeczy przewyższał nas równie swojém doświadczeniem, jak powagą i uporem, z jakim zwykle swojego zdania bronił, nie mniéj też miał nad nami wielką przewagę trafnym i nieco imponującym wyrażenia się sposobem. Przewagę tę jeszcze tém bardziéj w nas zwiększała jakowaś tajemniczość, która go otaczała. Po jego powierzchowności i mowie poznać można było, że jest rodowitym Rossyjaninem, jednakże nazwisko jego na cudzoziemca zakrawało. Opowiadał nam, że dawniéj służył w pułku huzarów, ale nikomu nie było wiadomo, kiedy i dla czego z służby wystąpił. Mieszkał on już od lat kilku w tém miasteczku i prowadził szczególny sposób życia, po którym wnosić można było, że jest bogatym, a przecież inne znowu okoliczności okazywały, że mu na pieniądzach zbywało. I tak nosił on zawsze jeden wytarty i wypłowiały surdut, jednakże wszyscy oficerowie z całego pułku mieli zawsze u niego stół otwarty. Obiad u niego składał się zwykle tylko z trzech lub cztérech potraw, które stary, wysłużony żołniérz, jako pokojowiec i kucharz razem, sporządzał. Szampana było zawsze podostatkiem. Mała biblioteka jego składała się prawie z samych dzieł strategicznych i kilku romansów; pożyczał on każdemu książki, kto go tylko o nie poprosił, ale nigdy ich już nie odbiérał. Najmilszą rozrywką jego było strzelać z pistoletu; zatrudnienie to odbywał w swoim małym pokoju, którego prawie wszystkie ściany od kul podziurawione były. Para pistoletów doskonałéj roboty była jedyną ozdobą i upiększeniem pokoju, który zamieszkiwał. Był on tak pewnym w trafianiu do celu, i my sami byliśmy tak często nocznymi tego świadkami, że każdy z nas byłby bez obawy stanął tuż pod goździem, do którego mierzył.

Jeżeli między nami wszczęła się niekiedy rozmowa o pojedynkach, natenczas Sylwio, tak się nazywał ten osobliwszy nieznajomy, nie należał nigdy do téj rozmowy. Niektórzy oficerowie zapytywali go, ażali się kiedy nie pojedynkował. »I owszem!« odpowiadał krótko i z oziębłością, oznajmując przy tém, że takie zapytanie jest niegrzeczne i dla niego niemiłe. Ztąd wnosiliśmy, że mu zapewne ofiara mistrzowskiego jego strzelania na sumieniu cięży, ale nigdy nie wpadło nam na myśl, ażeby on miał być tchórzem;

znajdują się bowiem tacy ludzie na świecie, których rysy twarzy i cała postać w nikim podobnego nie wzbudzą podejrzenia. Z tego powodu wypadek, który się poźniéj wydarzył, zdziwił nas nadzwyczajnie.

Jednego dnia było nas dziesięciu oficerów u Sylwia na obiedzie, pomiędzy nami był także pewien młody mężczyzna, nie dawno do naszego pułku przybyły, który się po raz pierwszy jako gość u naszego przyjaciela znajdował. Przy stole podobno za wiele dano szampana, a po obiedzie przyszła nam ochota do grania w karty; prosiliśmy więc Sylwia, ażeby nam bank założył. Sylwio wzbraniał się z początku, ale poźniéj przychylił się do naszéj prośby, i położył przed sobą pięćdziesiąt dukatów. Poczém się gra rozpoczęła. Sylwio nie dozwalał, aby w czasie gry prowadzono rozmowę, zapobiegał wszelkim sporom i sam był milczącym.

Jeżeli który poniter się zmylił, kazał mu drugi raz przeliczyć, niekiedy zaś, dla uniknienia wszelkiéj kłótni notował resztę na małéj marmurowéj tabliczce, poczém ją przy najbliższém rozdaniu kart do wygranéj lub przegranéj doliczał. Osobliwszy ten jego sposób trzymania banku nie dziwił nas bynajmniéj, już dawno byliśmy do tego przyzwyczajeni, a szacunek ku jego osobie nie dozwalał nam czynić w téj mierze jakowéj nieprzyjemnéj uwagi. Nowo przybyły oficer przywłaszczył sobie przez omyłkę podczas gry większą kwotę, niżeli się mu istotnie należała. Sylwio nie rzekłszy ani słowa, zanotował ją jak zwykle krédą na swojéj marmurowéj tabliczce. Ale młody oficer pochwycił z gniewem tablicę i zmazał, co Sylwio napisał. Sylwio nie okazawszy najmniejszego poruszenia na twarzy, zanotował powtórnie kwotę, którą oficer zmazał. Młody człowiek winem rozgrzany, sądząc, że Sylwio chce z niego szydzić, porywa ze stołu świecznik i ciska nim prosto w twarz Sylwia, i byłby go nim niezawodnie ugodził, gdyby tenże za wczasu nie był się uchylił. Sylwio podniosłszy głowę, zbladł jak ściana. »Oddal się mój panie,« rzekł do młodego oficera, »i podziękuj niebu, żeś tego szaleństwa w moim domu się dopuścił.«

Łatwo nam było domyśléć się jak się ta nieprzyjemna sprawa zakończy, i dla tego juześmy naszego towarzysza pomiędzy umarłych policzyli, zwłaszcza, że ten oddalając się z pokoju Sylwia oświadczył, iż gotów jest dać wszelkie zadosyć uczynienie, jakiego obrażony od niego wymagać będzie. Co do nas, kończyliśmy grę naszę, ale łatwo sobie wyobrazić można, żeśmy wszyscy nie byli już w dobrym humorze; po chwili wstaliśmy od stolika, i każdy z nas odszedł do domu, ubolewając w sercu nad biédnym towarzyszem, który się w tak niebezpieczną zawikłał sprawę.

Nazajutrz zrania zgromadziła nas służba jak zwykle w ujeżdzalni, i wszyscy byliśmy téj myśli, że nowy nasz towarzysz już nie żyje, aż oto właśnie wchodzi ten, któregośmy mieli za umarłego. »Cóżto ma znaczyć?« zapytali wszyscy jednogłośnie. »A Sylwio?«

»Nic o nim nie wiém.«

Z zadziwieniem spojrzeliśmy na siebie jeden po drugim, nie wiedząc jak sobie tę rzecz wytłumaczyć. Skończywszy nasze ćwiczenia, udaliśmy się do Sylwia. Zastaliśmy go jak zwykle zupełnie spokojnego, zabawiał się strzelaniem z pistoletu. Gdyśmy weszli, właśnie celował w kopijkę, przymocowaną do drzwi swego sypialnego pokoju. Rozmawiał z nami tak wesoło, jak gdyby dniem wprzód żadnéj nie doznał nieprzyjemności. Dni trzy ubiegło, a nasz towarzysz jeszcze żył swobodnie między nami; dnia czwartego przez lekkie uniewinnienia dawał poznać Sylwio, iż żadnéj nié miał urazy.

Przez ten sposób zachowania się w téj sprawie honorowéj, utracił Sylwio wiele na naszém poważaniu; bylibyśmy chętnie przebaczyli mu wszelki błąd, a nawet występek, ale tego braku odwagi, młodzi ludzie, a szczególniéj oficerowie, w żaden sposób przebaczyć mu nie mogli. Albowiem jakiéjże innéj przyczynie przypisać należało tę obojętność jego na tak wielką urazę, jeżeli nie brakowi odwagi?

Jednakże wszystko to, jak się zdawało, poszło wkrótce w niepamięć, a Sylwio jak dawniéj przebywał w naszém towarzystwie. Lecz, co do mnie, przyznam się, że mi niepodobna było patrzyć na niego tém samém okiem, i w téj samej z nim co wprzódy zostawać zażyłości. Skłonność moja ku temu

wszystkiemu, co jest zadziwiającém i nadzwyczajném, spowodowała mnie do wejścia w bliższe związki z człowiekiem, który dla nas wszystkich nieodgadnioną był tajemnicą. Jakoż i on sam zdawał się mieć większą ku mnie, niźli ku innym moim towarzyszom przychylność; jakkolwiek bowiem zimne i powściągliwe postępowanie jego nie dozwalało mu objawić słowami, że mi sprzyja, jednakże postrzegałem, iż w obecności mojéj był bardziéj rozmowny i uległy, niźli z drugimi oficerami. Od czasu owego nieszczęsnego wieczora nie mógłem sobie wybić z głowy téj myśli, dla czego ten w oczach moich tak imponujący człowiek dał się zhańbić bezkarnie, i z tego powodu sądząc, żem się mocno w nim omylił, zdarzało się pomimo mojéj woli, iż tak w mowie mojéj jakotéż w obcowaniu z nim przebijało się zawsze jakieś przykre, nieprzyjemne uczucie. Postrzegł to Sylwio i łatwo mógł sobie wytłumaczyć przyczynę mojéj oziębłości. Widziałem, iż kilkakrotnie szukał sposobności oświadczenia się przede mną, którego ja zawsze unikałem; co było powodem, iż odtąd jeszcze rzadziéj bywaliśmy z sobą, wyjąwszy tylko w obecności mych towarzyszy.

Jednego poranku wszedł do naszéj ujeżdżalni. »Mości panowie,« rzekł, »właśnie otrzymałem list z wezwaniem, abym jak najprędzéj jechał do Moskwy. Jeszcze téj nocy was opuszczę; spodziéwam się, że mi nie zechcecie odmówić i będziecie dziś u mnie po raz ostatni na obiedzie. Wćpana zaś,« dodał zwracając się do mnie, »spodziéwam się na wszelki przypadek mieć u siebie.«

Około południa zeszliśmy się wszyscy do jego pomieszkania. Obiad był wystawniejszy niż zwykle, kieliszki dzwoniły, szampan lał się strumieniem; wesołość i zaufanie kwitnęły na wszystkich twarzach. Sam nawet Sylwio zdawał się być weselszym i rozmowniejszym niż kiedykolwiek. Zabawa trwała do poźnego wieczora; pożegnawszy serdecznie naszego gospodarza, który tak hojnie nas uraczył, wdziałem na siebie płaszcz i przypiąwszy do boku szablę, chciałem odejść wraz z drugimi, ale Sylwio mnie zatrzymał. »Chciałbym jeszcze pomówić z wćpanem; proszę cię, zostań na chwilkę.«

Zostałem, byliśmy sami. Sylwio dał mi znak, abym usiadł, co i sam uczynił, zachowując milczenie. Wszelka wesołość, która go przed chwilą ożywiała, zniknęła z jego twarzy. Smętna bladość okryła jego policzki, z oczu jego błyskał jakiś mgły, niepokojący ogień; usta jego uśmiéchały się, ale byłto złośliwy, szyderczy uśmiéch; we wszystkich zarysach jego twarzy widać było coś szatańskiego. Długo siedzieliśmy w milczeniu jeden obok drugiego; zdawało się, iż zupełnie zapomniał, że jestem obecny; od czasu do czasu uśmiéchał się konwulsyjnie, i wtedy zdawał się miotać nim gniéw zaciekły; wtedy ściągał brwi, a ciemna czerwoność powlekała czoło jego. W milczeniu i z zadumieniem patrząc na niego, śledziłem nadaremnie przyczyny, która tak mocno sercem jego wichrzyła. Nareszcie jak gdyby ze snu ockniony, zwrócił się do mnie i zapytał: »Wćpan jeszcześ tutaj?«

Postrzegłem, iż twarz jego cokolwiek się wypogodziła; poczém ująwszy mnie za rękę, rzekł: »Téj nocy odjadę, ale mi jeszcze przed wćpanem oświadczyć się pozostaje. Wiadomo mu dokładnie, iż mało dbam w ogólności o zdanie ludzi; pochwała lub nagana świata tak mało mnie obchodzi, jak ten szum wiatru, który nam właśnie teraz słyszéć się daje, ale twoja osoba ma większe u mnie znaczenie, niż ten motłoch powszedni; zawszem cię poważał, co większa, kochał nawet, i tylko z bolem serca przyszłoby mi rozstać się w téj chwili, gdybym w tém zostawał przekonaniu, że i ty przyjacielu z pokrzywdzeniem mego honoru mógłbyś sądzić o mnie.«

To rzekłszy umilkł na chwilę, potém mówił daléj: »Zdziwiło to cię niezawodnie, żem płazem puścił grubijańską urazę młodemu szaleńcowi, któremu wino głowę zagrzało. Życie jego było w moim ręku, miałem wybór broni, piérwszy strzał odemnie zależał. Mógłbym chlubić się, żem był szlachetnym, spaniałomyślnym, ale nie będę przed tobą kłamał, i otwarcie wyznaję, że gdybym był pewnym pomyślnego wypadku i gdybym nie był przymuszony lękać się o moje życie, zawierz mi, że twój młody przyjaciel jużby nie żył na świecie.«

»Jako, czy podobna?« zawołałem i zerwałem się z krzesła prawie przestraszony

wyznaniem, które Sylwia w oczach moich podłym tchórzem piętnowało.

»Uspokój się,« rzekł do mnie, »i chciéj mnie słuchać daléj. Życie moje nie do mnie należy, dla tego nie wolno mi narażać je na niebezpieczeństwo. Będzie lat sześć temu jak w twarz uderzony zostałem, a ten, który mi dał policzek, żyje jeszcze.«

»Jako! I wćpan go nie wyzwałeś, nie pojedynkowałeś się z nim?«

»I owszem, rozprawiliśmy się z sobą; oto jest dowód,« to rzekłszy Sylwio pokazał mi swoję huzarską czapkę, która tuż nad daszkiem kulą przeszyta była. »Wiadomo ci,« rzekł daléj, »że służyłem w pułku huzarów, ale wtedy byłem wcale innym człowiekiem. Byłem młody, płochy, zarozumiały, i w tém największy zaszczyt dla siebie pokładałem, aby mnie w pułku za najpiérwszego miano. Pomiędzy naszymi oficerami wydarzały się bardzo często pojedynki, a ja słynąłem w całéj armii za najpiérwszego w tym zawodzie. Nie roztrzygniono żadnéj sprawy honorowéj, abym ja nié miał czynnego w niéj udziału; moi towarzysze poważali mnie, lecz lękali się wchodzić ze mną w zatargi, a pułkownik mój uważał mnie za potrzebne złe w swoim pułku. Miałem wstęp do wszystkich najpiérwszych domów w mieście, w którém nasz pułk stał załogą. Nie było ani damy, którаby sobie nie poczytywała za zaszczyt mieć Sylwia za czciciela, ani mężczyzny, któryby się go nie lękał i oraz nie życzył sobie mieć go swym przyjacielem. Tym sposobem przez niejaki czas używałem spokojnie swojéj sławy i wziętości, aż nareszcie pewien młody człowiek bardzo znakomitéj familii wstąpił do naszego pułku. Młodzieniec ten posiadał wszelkie zalety, jakiemi tylko natura i ludzie śmiertelnika wyposażyć mogą. Dowcip, uroda, wrodzona odwaga, świetne imię i ogromny majątek nadawały mu tak wielkiéj wagi i znaczenia, iż z tego powodu zaraz piérwszéj chwili, w któréj się z nim poznałem, nienawidzieć go byłem przymuszony. Uprzedzony o mojéj sławie, zdawał się z początku starać o pozyskanie méj przyjaźni, ale oziębłość z jaką na samym wstępie go przyjąłem, w krótkim czasie odepchnęła go ode mnie. Niechęć moja ku niemu wzrastała tém bardziéj, im więcéj bogatym i pięknym damom on się podobać umiał, a sława osobistéj odwagi, którą w nie długim czasie sobie zjednał, jeszcze bardziéj nienawiść moję ku niemu wzmogła. Szukałem z nim zwady, ile się razy sposobność ku temu nadarzyła, i starałem się ucinkami wyszydzać jego zalety; natarczywość moję odpiérał on tąż samą bronią, lecz dowcip jego był ostrzejszy i bardziéj uszczypliwy; z tego powodu zawsze ja byłem przedmiotem śmiéchu obecnych, bądź że on istotnie przewyższał mnie swoim dowcipem, bądz że osobom, które mnie otaczały, sprzykrzyła się była moja przewaga. Pewnego razu byliśmy obadwaj na balu, na który także najznakomitsze damy zaproszono. Mój spółzawodnik był bohatérem tego wieczora, damy zdawały się wyraźnie walczyć o jego spojrzenia, z słodkim uśmiéchem przyjmowano każdą jego uwagę.«

»Będąc dość dobrze znany pani domu, przybliżyłem się do niéj, i zacząłem prowadzić z nią rozmowę; ale ona zaledwo na mnie zważać się zdawała, i odwróciwszy się ode mnie, starała się odpowiadać na zapytanie, które téj saméj chwili szczęśliwy mój spółzawodnik do niéj wymierzył. Krew wrzała w żyłach moich. Już dłużéj powściągnąć się nie mógłem i przystąpiwszy do niego: »Jesteś śmiesznym, nieznośnym głupcem,« rzekłem tak głośno, iż to wszyscy obecni słyszéć mogli. Zaledwo, że to urażające słowo z ust moich wyszło, przeciwnik mój staje, wpatruje się we mnie okropnym wzrokiem, odwodzi zimną krwią ramię, i w obliczu najznakomitszych osób — policzek mi daje. W okamgnieniu błysnęły nasze szable i obadwaj natarliśmy na siebie z zaciekłością wzajemną, lecz towarzysze nasi rozbronili nas, i tego wieczora nie przyszło do krwie rozlewu. Nazajutrz mieliśmy odbyć pojedynek na pistolety.«

»Skoro słońce wzejszło, płonąc zemstą i nienawiścią, czekałem już na miejscu przeznaczoném do pojedynku. Wkrótce ujrzałem także zbliżającego się ku nam mojego przeciwnika; idąc rozmawiał spokojnie z swoimi sekundantami, i trzymając czapkę w ręku, wyjmował z niéj i jadł z zadziwiającą obojętnością czereśnie. Świadkowie odmierzyli

dwanaście kroków. Ja byłem obrażony, a zatém mnie piérwszy strzał przynależał; lecz czułem wrzącą krew w żyłach moich, ręka drzała mi z wściekłości; obawiałem się, abym gniewem uniesiony nie chybił celu. Oświadczyłem przeto, aby przeciwnik mój piérwszy do mnie strzelał, lecz on nie chciał tego uczynić; musieliśmy więc ciągnąć losy. Jakoś los roztrzygnął podług mego życzenia; na mojego przeciwnika przypadł strzał piérwszy. Kula jego przeszyła mi czapkę właśnie w tém samém miejscu, które wćpanu pokazywałem. Teraz przyszła na mnie kolej; podniósłszy pistolet, śledziłem zwolna, ażali w twarzy mojego wroga jakowego znaku bojaźni nie dostrzegę, ale on stał spokojnie i obojętnie naprzeciw lufy mojego pistoletu i zawsze jeszcze jadł czereśnie, co większa, w dodatek urągowiska, pestkami na mnie rzucał. Taka niesłychana nieustraszoność do rozpaczy mnie przywiodła; już nie było zadowoleniem dla mnie zabić mojego przeciwnika, kiedy nieuchronna śmierć, którą widział przed swojemi oczyma, tak mu obojętną była. »Mamże tego młodego szaleńca,« pomyślałem sobie, »który tak mało życie swoje cenić się zdaje, trupem położyć?« To pomyśliwszy, okrutna myśl przebiegła mi przez głowę; spuściłem ku ziemi pistolet.«

»Zdaje się,« zawołałem do mego przeciwnika, »iż wćpan nie chcesz dziś zapoznać się z śmiercią i tak smacznie zajadasz śniadanie, że mi obawiać się należy, abym mu nie przeszkodził.«

»Nie przekadzasz mi bynajmniéj,« odrzekł przeciwnik, »chciéj tylko strzélać, jeżeli łaska; koléj jest na wćpana, czekam jego strzału.«

»Lecz ja dziś nie będę strzélał,« rzekłem do świadków, i wypaliłem broń w powietrze. Na tém się skończył pojedynek.«

»Już nie wróciłem do miasta, i od tego dnia zamieszkałem w tém miejscu; ale odtąd nie było ani jednéj chwili, w któréjbym nie myślał zemścić się na moim przeciwniku; teraz nakoniec przyszedł ten upragniony czas zemsty, w którym za moję obelgę pomścić się mogę. Oto czytaj wćpan ten list.« Wyczytałem, co następuje:

»Człowiek, o którym się dowiadywałeś, za»myśla żenić się z piękną, bogatą damą, pocho»dzącą z najznakomitszego domu w Moskwie.«

»No jakże? Teraz zapewne domyślasz się wćpan,« rzekł Sylwio z gorzkim uśmiéchem, »kto jest ten człowiek, o którym się dowiadywałem; w dodatek masz i o tém wiedzieć, iż ta, z którą żenić się zamyśla, jest przypadkiem ta sama, która niegdyś moją ręką wzgardziła! Jeszcze téj nocy odjeżdżam do Moskwy, i zobaczę, ażali jeszcze i teraz tak spokojnie w obliczu śmierci, na przeciw lufy pistoletu, czereśnie jeść będzie.« To rzekłszy powstał z krzesła i zaczął dziko przechadzać się po pokoju i rzucać się, jakby tygrys w klatce; z wściekłości miał w ręku czapkę, jak gdybyto była skrwawiona głowa nieprzyjaciela; z oczu jego błyskała radość okropna. W téjże chwili wchodzi służący do pokoju i oznajmia, że już wszystko do podróży ułatwione; ścisnęliśmy się za ręce, i téj samej chwili Sylwio wsiadłszy do lekkiego powozu, ujechał mi z oczu.

* * *

W lat kilku poźniéj i ja wystąpiłem z wojska. Żyłem samotnie na ustroniu w mojéj małéj włości nie daleko miasteczka R.... Zajmując się po największéj części czytaniem i łowami, ćwiczyłem się niekiedy w strzelaniu z pistoletu, aby nie utracić ze wszystkiém wprawy w używaniu téj broni, do któréj wprzódy dosyć nawykłem. Ilekroć wziąłem pistolet w rękę, tyle razy wpadł mi na myśl Sylwio; żałowałem tylko, żem się nie mógł dowiedziéć, jaki koniec miała zemsta, którą zawziął się wywrzéć na swoim przeciwniku.

Jednego razu rozmawiając z moim znajomym o tych, którzy sławnie strzelają z pistoletu, opowiadałem mu, żem znał pewnego człowieka w téj mierze najzręczniejszego, byłego oficera huzarów, z którym przez długi czas w X. przebywałem. Człowiek ten miał taką wprawę, iż nieraz dla rozrywki zgładził kulą muchę, która w jego pokoju na ścianie usiadła.

»Nié ma co mówić, taka wprawa jest nadzwyczajną,« odrzekł przyjaciel. »Jakże się nazywa ten sławny strzelec?«

»Sylwio,« odrzekłem.

»Sylwio? Jako, czy znasz go wćpan?«

»I owszem; mówię wćpanu, że miałem z nim przez długi czas zażyłość. Ale czy on i wćpanu jest znany?«

»Bynajmniéj; tylko o nim słyszałem. Opowiadałże on wćpanu przygodę, którą miał gdy jeszcze w pułku huzarów zostawał?«

»Do najmniejszych szczegółów.« To rzekłszy udzieliłem mojemu znajomemu całéj tajemnicy, którą mi Sylwio przed swoim odjazdem powierzył.

»A teraz,« odrzekł znajomy, »ja wćpanu na wzajem opowiedziéć mogę, w jaki sposób Sylwio zemsty swojéj dokonał. Przeciwnik, którego nazwisko przed wćpanem zamilczał, jestto hrabia B. Gdy już przez kilka tygodni był żonatym, oznajmiono mu dnia jednego po południu, że jakiś nieznajomy oczekuje go w jego pokoju, i że tylko jemu samemu chce powierzyć swoje nazwisko. Hrabia pośpieszył dowiedziéć się, ktoby to był taki.

»Czy poznajesz mnie hrabio?« rzekł Sylwio straszliwym głosem.

»Sylwio!« wykrzyknął hrabia, i mimowolnie powstały mu włosy na głowie.

»Tak jest; ja to jestem, ja sam, i mnie strzał przynależy. Jesteś gotów?«

Hrabia odmierzył z pośpiechem kroków dwanaście. »Strzelaj! ale spiesz się, nim moja żona nadejdzie.« Sylwio nabija czém prędzéj pistolet.

»Wiészże hrabio, że ten pistolet nie pestkami nabity? patrz, oto wpuszczam w weń ciężką, ołowianą kulę, a rzadko chybiam celu mego. Jednakże nie będę strzélał; czyn taki nie byłby pojedynkiem honorowym, ale skrytobójstwem; nie myślę strzélać do bezbronnego człowieka. Oto drugi pistolet, weź go; niech los roztrzygnie, komu piérwszy strzał przynależy.« Los znowu dał piérwszeństwo hrabiemu; blady i drżący bierze pistolet i strzéla; kula przeszła przez okno.

Hrabina usłyszawszy wystrzał wbiega wylękniona właśnie w téj chwili do pokoju, gdy Sylwio trzymał już pistolet w jéj męża wymierzony; z okropnym, przeraźliwym wykrzykiem rzuca się Sylwiemu w ramiona.

»Zostaw nas, Maryjo,« rzekł do niéj hrabia, przymuszając się do uśmiéchu. »Tyś nadaremnie się przelękła. To są tylko żarty; Sylwio jest moim dawnym towarzyszem wojskowym.«

»Jestżeto prawda?« zapytała hrabina Sylwia, patrząc mu trwożliwie i badawczo w oczy, »jestżeto prawda, że wćpanowie żartujecie?«

»Zacny mąż twój lubi żarty, łaskawa pani, i oto właśnie chciał mi kulą przeszyć głowę; ale teraz przyszła na mnie kolej takowego żartu, a kto wié, czy ja nie lepiéj od niego pożartować potrafię.« Hrabina rzuciła się do nóg Sylwiemu.

»Wstań, Maryjo,« rzekł hrabia z gniewem, »nie poniżaj się przed tym człowiekiem. A ty, nędzniku, nasyć się rozpaczą mojéj żony. Strzélaj spieszno, dostoję ci strzału!«

Sylwio wymierzył powtórnie pistolet ku hrabiemu, nieszczęśliwa małżonka objęła jego kolana. »Przez miłość Boga!« krzyknęła okropnym głosem, »zaklinam cię panie!« a reszty słów trwoga i łzy domówić jéj nie dały.

Sylwio zdawał się cieszyć jéj męczarnią i chciał tę okropną scenę jeszcze przedłużyć.

»Strzélaj, Sylwio!« zawołał hrabia; »strzélaj, oprawco; pocóż ociągasz się jeszcze? Czyliż śmiertelna męczarnia twéj ofiary nie jest ci jeszcze zadosyć długa? strzélaj, niech już raz będzie koniec temu!«

«Nie będę strzélał,« odrzekł Sylwio i spuścił pistolet, »dość mi na tém, żem cię drżącym przede mną widział, waleczny hrabio, spodziéwam się, że o mnie nie tak prędko zapomniész, i że to nazwisko Sylwio utkwi na zawsze głęboko w twéj pamięci. Z resztą i ja o tobie nie zapomnę i kiedyś znowu się zgłoszę; wszak ci wiadomo, iż mnie z kolei strzał przynależy.« To rzekłszy wyszedł z pokoju, a hrabia był tak zmieszany, że go nawet nie zatrzymał. Nie upłynęło kilka minut, już usłyszał powóz odjeżdżający, a Sylwio raz jeszcze do niego szyderskim głosem zawołał: »Do zobaczenia się panie hrabio!«

»A to jest szkaradna niegodziwość!« rzekłem ze wzdrygnieniem. »Żyjesz hrabia, i małżonka jego zostajeż jeszcze zawsze w tym strasznym, niepewnym stanie? obawiająż się oni zawsze jeszcze, aby okrutny Sylwio nie ukazał się z pistoletem i nie przeciął pasma ich życia?«

»Posłuchaj daléj!« rzekł mój znajomy. »Rok upłynął od czasu jak Sylwio ukazał się w domu hrabiego. Rok ten był wiekiem dla jego nieszczęśliwéj małżonki, która każdy dzień w śmiertelnéj przepędzała trwodze. Aż nareszcie jednego dnia otrzymał hrabia list treści następującéj:

»Mości hrabio! I odważny człowiek ma swoję słabą stronę. Cieszy mnie to, żem tę stronę w wćpanu, jako w moim największym nieprzyjacielu, odkryć umiał. W zeszłym roku nasyciłem zemstę moję, i odwetowałem udręczenia, które przez haniebną wzgardę swoję przygotowała mi niegdyś przeze mnie ubóstwiana, a teraźniejsza małżonka twoja hrabio. Aż dotychczas chowałem jeszcze kulę dla ciebie; ale odtąd możesz już być spokojnym; dowiédz się, iż kula ta, w chwili gdy ten list odbierzesz, już przeszyła serce moje, które ani zniewagi ani straty ukochanéj istoty znieść nie mogło. Skończyliśmy już z sobą sprawę hrabio. Bądź mi zdrów! Sylwio.«

»A więc Sylwio już nie żyje?« zapytałem zerwawszy się z miejsca.

»List, który hrabia otrzymał, był krwią zbryzgany!« odrzekł mój znajomy stłumionym głosem. Sylwio uskutecznił to, co hrabiemu napisał.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 24. i obejmuje: 1) O uprawie lnu (dokończenie). 2) O skutkach z obcinania drzew starych i młodych. 3) O krzyżowaniu baranów z Naz z owcami z Rambouillet we Francyi. 4) Sposób żeby kadki fermentacyjne kwasu nie naciągały. 5) Obchodzenie się z kawą po holendersku. 6) Żeby źwierzynę w lecie od zepsucia zachować. 7) Mięso bajcować po angielsku. 8) Angielski sposób solenia masła. 9) Cukrownie w Rossyi. 10) Nowa machina do żęcia.

Z Pragi. Pan Hanka wydaje obecnie: *Gramatykę polską dla Czechów.* Gramatyka ta ponieważ na podstawie sławiańskich języków, podanéj od Dobrowskiego, ze względem na właściwości polskiego języka jest wypracowana, będzie i dla Polaków z wielu miar użyteczną, bo rzuci nowe światło na dwie najtrudniejsze, w naszych polskich gramatykach wcale jeszcze nie ostatecznie wyjaśnione części mowy: rzeczownik i słowo. Cześć niech będzie mężowi zacnemu, który przy tylu rozmaitych innych pracach znalazł czas nie tylko do nauczenia się czysto mówić językiem polskim, ale i do zgłębienia go we wszystkich najdrobniejszych jego odcieniach. Spotyka wysoka cześć naszego zacnego ziomka Adama Junoszę Rościszewskiego, gdy autor tę gramatykę jego imieniu poświeca. — Pana Szafarzyka *Mappy ziemiopisne* do »Starożytności sławiańskich« wyjdą w tym roku. — Pan Czelakowski pracuje nad *Słownikiem czesko-sławiańskim* pod względem więcej źródło-słowym (etymologicznym). Jest już blizki ukończenia, i dzieło to w 4ch tomach wyjdzie zapewne tego jeszcze roku z druku. Ważnato będzie praca i dla innych Sławian, ważniejsza jeszcze dla nas Polaków, którzy dwie trzecie części wyrazów z czeskiemi mamy podobnych. C.

Z Warszawy. Na scenie tutejszéj szczególnie kwitnącym jest balet. Podoba się mianowicie *Wesele w Ojcowie,* balet pełny oryginalności i wdzięku, ułożony przez pana Maurice z samych mazurków i krakowiaków. — Text do dawanéj tu opery *Napój miłosny* jest ostatnią pracą Ludwika Osińskiego. — Ze sztuk oryginalnych przedstawiają prawie same tylko komedyje hr. Fredra. *Akt piąty* Korzeniowskiego nie podobał się. Nie wiém czemu to przypisać (!). Dowcipny Fryderyk hr. Skarbek w krotochwili: *Intryga w Straganie,* wprowadził na scenę klasę średnią ludności warszawskiéj. Sztuka ta nie podobała się z początku, dopiero w następnych przedstawieniach zyskała największe oklaski. — Z pism czasowych, wyłącznie literaturze poświęconych, najlepszém jest *Muzeum domowe,* do którego Skarbek, Maciejowski, Wojcicki i t. p. artykuły podają. *(Z listu.)*

Z Charkowa. W roku zeszłym (d. 12. września) stracił uniwersytet tutejszy jednego z najsławniejszych swoich profesorów, Jana Krynickiego, urodzonego w gubernii Kijowskiéj r. 1797, członka wielu towarzystw naukowych. Mąż ten słynny był jako niezmordowany badacz natury. Szczególnie w gałęzi zoologii wielkie w Rossyi położył zasługi, w któréj przedmiotach listował z najznakomitszymi uczonymi Europy. Dla uczczenia jego pamięci wielu krajowych badaczów przyrody nadało imię jego odkrytym przezeń niektórym gatunkom zwierząt i tym podobnych, i tak miedzy innemi z rzędu ptaków ma jeden nazwę *Garrulus Krynickii.* Pisał najwięcéj po łacinie, lecz są także jego pisma polskie i rossyjskie, a nawet francuzkie. Z polskich przytaczamy: *Opisanie instytutu wiejskiego gospodarstwa w Hohenheim.* Zostawił w rękopismie wiele prac pod względem zoologii, geognozyi, geologii i ornitologii.

Amazonki. W dziejach świata znajdujemy niejednę rzecz, o któréj daleko łatwiéj jest powątpiéwać, niżli ją badaniami udowodnić. Historyja Amazonek w szczególności zdawała się poważnym dziejopisarzom być nazbyt poetyczną, bajeczną, i dla tego ją dyjamentowym rylcem z roczników bogini Klio wykreślili. Dla takich więc, i dla wszystkich, którzy w dziejach świata upodobanie mają, zalecamy dzieło następujące: *Le Amazzoni rivendicate alla verità della storia, di Francesco Predari. Milano, Bravetta,* 1839. W dziele tém, obejmującém siedm rozdziałów, wyświecił autor historycznie, że Amazonki wcale nie są zmyślone, ale że w samej rzeczy istniały. Wywodzi ich początek i epokę ich sławy; wymienia kraje, które przez nie były zamieszkane, formę rządu, jaka między niemi istniała; bitwy przez nie stoczone; nakoniec obyczaje i wiarę, którą wyznawały, i wszystkie te wnioski opiera na dowodach, których historyja zaprzeczyć nie może, to jest na pomnikach, które dotychczas istnieją, a wszystko zbijają, co już kiedykolwiek przeciwko temu powiedziano. Rzeczą uwagi godną jest to, że siedziby ich nie tylko w staréj Azyi, ale także w Europie, Afryce, a nawet w Ameryce historycznie udowodnić się dadzą. Nawet w Islandyi pewna Amazonka, założywszy w trzysta dziewic miasto, na niejaki czas panowanie swe ustaliła. Ztąd widać, jak ciekawém jest nadmienione dzieło, i jak wiele ksiąg przewartował autor, za nim z podobném pismem wystąpić się odważył.

Miss Amerigo Vespucci, pochodząca w prostéj linii od Ameriga Vespucciego, który jak wiadomo Nowemu-Światu nadał swoje nazwisko, zaniesła, jak pisma nowo-jorskie donoszą, prośbę do kongresu, aby tenże przyjął ją za obywatelkę Stanów Zjednoczonych i niejaką przestrzeń ziemi jako własność dla niéj przeznaczył. Kongres jednakże odrzucił jéj prośbę o naturalizacyję, ponieważ takowa istnącym ustawom się sprzeciwia, równie jak i prośbę o wyznaczenie dla niéj niejakiéj części ziemi w kraju, ponieważ prosicielka nie wymieniła, jakowe w kraju zasługi położyła. Jednakże celem zakupienia dla niéj majętności i wsparcia jéj także innemi sposobami, subskrypcyję narodową otworzono.

Wielki Książę Następca tronu rossyjskiego przybywszy do Zaardam, zwidził domek Piotra Wielkiego i napisał tamże ołówkiem na kamieniu wiersz w rossyjskiém narzeczu następującéj treści: »Aniołowie nieba unoszą się nad tą skromną chatką; w tém miejscu dumał wielki mąż nad uszczęśliwieniem swego Państwa; to miejsce było kolébką potęgi rossyjskiéj.« Gdy Piotr Wielki w r. 1697 opuszczał Zaardam, darował każdemu z sześciorga dzieci wdowy, u któréj mieszkał, po jednym srebrnym puharze. Jeden z tych puharów, aczkolwiek często zastawiany, zachował się jeszcze dotychczas u ubogiego cieśli okrętowego, prawnuka rzeczonej wdowy. Gdy Wielki Książę zwidzał Zaardam, prawnuk wdowy doręczył mu ten puhar, a Następca tronu rossyjskiego wydał natychmiast potrzebne rozporządzenie, aby o nim na przyszłość miano staranie.

Początek familii Demidów. Gazety petersburskie zawiérają bijograficzną szkicę przodka familii hrabiów Demidów. Nazywał on się Demid Antufij, i był dobrym kowalem. Syn jego Nikita, przez swoje zręczność w kowalstwie dał się poznać Piotrowi Wielkiemu. Za piérwszych trzysta halebard, zrobionych na wzor niemieckich, kazał mu Car w trójnasób tyle zapłacić, ile żądał. Piotr Wielki odwidził go nawet w jego pomieszkaniu, a gdy Nikita chciał go winem poczęstować, Car miał rzec do niego: »Jako kowalu, i ty trzymasz zagraniczne napoje? Daj mi kubek gorzałki, ta nie jest

tak kosztowna, a dla Rossyjanina bardzo zdrowa!« — W skutek tych odwidziu darował mu Car przestrzeń ziemi na założenie fabryki, wraz z pozwoleniem kopania żelaza w Tuli, przezco ten monarcha założył piérwszy fondament do słynnego bogactwa nadmienionéj rodziny. Już bowiem Antufijew zebrał tak znaczne bogactwa, iż przyjechawszy do Petersburga podczas urodzin wielkiego księcia Piotra Petrowicza, złożył w podarunku dla dworu kilka sztuk złota, które w starożytnych sybirskich kopalniach znalazł. Przy okoliczności gdy się wielkiemu księciu piérwsze zęby wykłuły, Antufijew przyniósł 100,000 rubli w podarunku. Ukaz, którym wyniesiony został do stanu szlacheckiego, datowany jest 12. września 1720, od któregoto czasu także Demidowem się zwać zaczął.

Z Paryża. Nowa biblioteka polska liczy obecnie 2000 tomów. Tutejsza rada miejska ma jéj gmach przeznaczyć. *(Ost und West.)*

W St. Etienne we Francyi r. 1838 sprzedano 39,042 sztuk strzelb, między któremi było 20,074 dubeltówek. Prócz tego sprzedano także 3231 par pistoletów.

Targ na psy. Od niejakiego czasu w Paryżu odbywa się co niedziela od godziny 12stéj do 2giéj po południu targ na psy na tém samém miejscu na bulwarze *de l'Hopital*, na którém każdéj środy i soboty jest targ na konie, i ma być bardzo odwidzany.

Nie ruszaj mię. Kamieni starych murów, które niegdyś Szkocyję od Anglii dzieliły, używano w dawnych czasach przy budowaniu domów, jako środek do sprowadzenia na nié pomyślności i szczęścia. Mniemanie to jeszcze po dziś dzień pomiędzy ludem panuje. Sir W. Blunders, szlachcic szkocki, kazał nie dawno w poblizkości owéj granicy rozkopać ogród, przyczém znalazł ogromną bryłę kamienia, na któréj starożytnemi głoskami znajdował się wyryty napis następujący: »Jestem szczętem starego muru, i dla bezpieczeństwa zamku i ogrodu tu położony. Ktokolwiek mnie znajdziesz, nie tykaj mnie, albowiem nieszczęście spadnie na zbrodniczą rękę, która mnie z tego miejsca wziąć się poważy.« Sir W. Blunders roześmiał się z téj pogróżki, a będąc antykwaryjuszem, rozkazał, aby ten kamień dla jego muzeum wydobyto. Praca ta była trudna, ponieważ kamień był bardzo duży i niekształtny. Gdy go odkopawszy do góry wydobywano, gentleman wraz z swoimi dwoma synami zeszedł w dół z boku, dla zobaczenia, ażaliby z pod spodu dźwigni podłożyć nie można; aż oto téj saméj chwili stacza się kamienna bryła i spadając w dół, wszystkich trzech ziemią zasypuje. Najstarszy z synów był już żonatym. Małżonka jego, która piérwszy raz była przy nadziei, dowiedziawszy się o tym strasznym wypadku, bieży z skwapliwością i spuszcza się w jamę, w tém usuwa się ziemia po bokach i zagrzebuje w swych wnętrznościach całą rodzinę! Pewien daleki powinowaty, jako spadkobierca, kazał teraz na tém samém miejscu wznieść pomnik, który smutny wypadek ten potomności przekaże, i oraz dla niej przestrogą będzie, aby się nie ważyła lekce ważyć i naruszać tego, co przeszłość nietykalném mieć chciała.

Spaniałość szlachetnego serca. Następująca familijna scena wydarzyła się na dziedzińcu pocztowym w Paryżu. Pewna ładna, dziewięcio-letnia dziewczynka, córka jednéj ubogiéj wdowy, jechała pod dozorem swéj krewnéj do Fontainebleau. W dyliżansie poznał ją bogaty pan, który zachwycony przyjemnością, a jeszcze bardziéj podobieństwem jéj z córką, która mu przed kilkoma laty umarła, dawał za odstąpienie jéj 10,000 franków matce, która po córkę na pocztę przyszła, przyrzekając, że jéj cały majątek swój zapisze. Matka, usłyszawszy to, rozpłakała się i nie wiedziała sama, co począć w tym przypadku, chociaż krewni i wszyscy obecni jéj doradzali, aby szczęścia córki swojéj nie odrzucała. Nareszcie całą tę walkę macierzyńskiéj miłości roztrzygnęła dziewczynka; albowiem rzuciwszy się matce w objęcie, oświadczyła, że jéj nie opuści, i że przy niéj na zawsze pozostanie. Bogaty pan, aczkolwiek z żalem, jednakże odstąpił od swojego żądania, a wyjąwszy z pugilaresu banknot na 1000 frank. wręczył go małéj dziewczynie i odjechał.

Anegdota następująca krąży po salonach paryzkich: Pewien malarz posłał był na wystawę kunsztów w Paryżu trzy obrazy; między temi były dwa wielkie, a jeden mały krajowid, przedstawiający wioskę, w któréj artysta się urodził. Piérwsze dwa sprzedano w krótkim czasie, a trzeci, który nie mniejszą miał wartość u samego artysty, nie zwrócił na siebie uwagi. W kilka dni później otrzymał malarz przez żołniérza od dragonii list, w którym go zaproszono, aby tegoż samego poranku do marszałka się udał. Artysta przybywa, marszałek przyjmuje go bardzo uprzejmie; prosi go siedzieć i wszczyna następującą rozmowę: »Wćpan jesteś N.?« — »Tak jest.« — »Obrazy jego na wystawie kunsztów mocno mnie zajęły.« — »Za wiele łaski.« — »Chceszże je wćpan sprzedać?« — »Nie inaczéj; już dwa są sprzedane, jeszcze tylko trzeci pozostał.« — Właśnie ten, który kupić sobie życzę. Przedstawia on wioskę.....«— »Z któréj jestem rodem, mości marszałku.« — »I ja także; cóż wćpan żądasz za ten obraz?« — Nie myślałem się go pozbywać, ale gdy mam to szczęście, że się panu marszałkowi podobał, niech więc mu służy za sześćset franków.« — »Mało żądasz, mój przyjacielu, ja ci dam tysiąc. Ale jeszcze go o jednę rzecz zapytam. Nie miałżeś nikogo w swojéj familii, któryby wojskowo służył?« — »I owszem, mam ojca. Roku 1795 był on sierzantem w armii reńskiéj, został ranionym i odtąd żyje na wsi.« — »Ja w tym samym pułku służyłem, i r. 1795 byłem także sierzantem. Ojciec wćpana pamiętać będzie moje nazwisko. Ale pozwolisz, abym dla starego towarzysza mego zrobił małą przysługę.« To rzekłszy marszałek siadł przy biórku i napisał rozkaz do swojego bankiera. Poczém wręczywszy go artyście prosił, aby go jak najczęściej odwidzał. Artysta idąc po wschodach przeczytał rozkaz; byłto zapis na tysiąc franków.

Klątwy na zażywających tabakę. Papież dnia 30. stycznia r. 1642 ukarał exkomunikacyją wszystkich tych, którzy podczas nabożeństwa w kościele sewilskim tabakę zażywali; a Innocenty X. dnia 8go stycznia 1650 rzucił podobnąż klątwę na zażywających tabakę w Watykanie, podczas gdy Benedykt XIII. wydaną pod dniem 10. stycznia 1725 roku bulą pozwolił przeciwnie zażywać tabakę wszystkim, którzy w niéj upodobanie mieli.

Pies w parlamencie. Pewnego razu, gdy lord North w izbie niższéj ważną toczył rozprawę, wleciał tamże pies niespodzianie, a zaszczekawszy pośrodku sali, wybiegł drugiemi drzwiami, przezco przerwał lordowi najważniejszą część jego mowy. Powszechny śmiech, który powstał, byłby zmieszał każdego innego mowcę. Ale lord North, który i ze śmiesznego wypadku umiał korzystać, czekał z największą cierpliwością, aż się izba uspokoiła; poczém zwróciwszy się do prezydenta izby rzekł: »Sir, nowy członek, który tak niespodzianie odwidził nasze posiedzenie, przerwał mnie w toku mojéj mowy, ale gdy tenże już swoję skończył, więc ja moję daléj prowadzę.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*